

Danuta Gil-Łowkis

Stefan (I)

Niniejszy tekst jest częścią większej całości, z której Autorka wydzieliła rozmyślenia jednego z bohaterów. To historia o losach całej rodziny, której w tych samych warunkach, postawy i wybory były inne.

Bywają dni, o których trudno coś sensownego powiedzieć. Jesteśmy, a wokół próżnia, obowiązki i jakiegokolwiek potrzeby stają się nieważne. Właśnie taki dzień nadszedł po śmierci Leszka, mego brata. W swym ośpieniu byłbym nawet przegapił pukanie do drzwi. Przyszła Zuzia – jego żona.

Staliśmy w przedpokojach, ponieważ stwierdziła, że się spieszy. Nie wyglądała na roztrzęsioną, raczej na zmarzniętą. Jej opanowanie nie zaskoczyło mnie. Brat długo chorował, może dlatego sądziłem, że od dawna jest pogodzona z losem, z tym, że dalszy ciąg życia będzie prowadziła samotnie. Zresztą, co to za samotność? Mieli dzieci, mieli nawet wnuki, więc teoretycznie nie istniał powód, by czuła się krańcowo opuszczona.

Było mi nieswojo z gościem w przedpokojach, dlatego mimo wszystko próbowałem namówić ją na gorącą herbatę. – Dziękuję, nie – powiedziała zdecydowanie. Chwilę się zastanawiała, po czym zaczęła: – Stefan, byłeś ministrantem.

– Ministrantem? – zapytałem zdumiony, myśląc równocześnie, co też jej przyszło do głowy, jednak ona się upierała. – Byłeś. Leszek mi mówił. Razem służyliście do mszy.

– Rzeczywiście, to prawda, lecz od tego czasu upłynęło ponad pięćdziesiąt lat, więc się nie dziw... – chciałem zdarzenie skomentować, lecz przerwała.

– Uroczystości pogrzebowe odbędą się w czwartek, w kościele świętego Wojciecha. Zamówiłam mszę i mam nadzieję, że przyjdiesz.

Przytaknąłem kompletnie zaskoczony podejrzeniem, że mógłbym zachować się nieestosownie, a ona uzasadniała decyzję, mówiąc ni to do siebie, ni to do mnie: – Wiesz, on tak chciał, chciał odejść z Bogiem. Jestem tego prawie pewna i dlatego musiałam zamówić mszę, ale co będzie, jeżeli nikt nie przystąpi do komunii?

Spojrzała mi w oczy, więc uznałem, że powinienem coś powiedzieć. – Zadajesz dziwne pytanie. A co ma być? Czego oczekujesz? Nic się nie stanie.

– Zaprzeczyła ruchem ręki i dodała: – Nie masz racji, to nie tak.

Coś jej chodziło po głowie. Przez chwilę mamrotała pod nosem, pomyślałem nawet, że traci jasność myśli, ale wtedy zaczęła mówić składnie, najpierw wolno i cicho, potem coraz wyraźniej.

– To ostatni moment, w którym można z nim być. Ci, którzy przyjdą go żegnać, powinni wiedzieć, że po świecie nie wędrował sam, że ktoś go wspierał. Zrozum tylko, przecież komunია to symbol wspólnoty – mówiła jakoś nienaturalnie pobudzona. – Trzeba iść do komunii, trzeba! – zakończyła zdecydowanie.

Staliśmy w ciszy. Na zewnątrz pogwizdywał wiatr i siał deszcz. Myślałem, że chce odejść. Poprawiła płaszcz, wyjęła z kieszeni chusteczkę, którą przetarła twarz, i powiedziała: – Jemu się to należy, a ja tego zrobić nie mogę, nie umiem, a tym bardziej moje dzieci. W całym życiu byłam na mszy może z dziesięć razy, a one jeszcze mniej. Dlatego proszę cię...

Zaskoczenie było całkowite. Upłynęła chwila, zanim zrozumiałem, czego ona ode mnie oczekuje, i wtedy falą gorąca objawiła się złość, złość, która narastała, bo podsycał ją wstyd, że na wykonawcę zamysłu wybrała mnie.

„Przecież ona wysłała mnie do komunii! I to jak? Jak po papierosy! Co ona sobie wyobraża! Za kogo mnie ma, niby kim w jej oczach jestem? Człowiekiem bez jakichkolwiek zasad, zdolnym do wszystkiego?” – przemknęło mi przez głowę i natychmiast pojawiły się różne określenia, których była godna. Wiedziałem, że uważa mnie za najgorszego z najgorszych, ale żeby aż tak! Mimo wszystko należało się opanować.

Żadne z nas nic więcej nie powiedziało. Gdy wyszła, wróciłem do pokoju, gdzie czekała przygotowana wcześniej kawa. Sięgnąłem po nią, ale była kompletnie zimna. „Trzeba ją wynieść do kuchni” – stwierdziłem, lecz chcąc zastanowić się nad zdarzeniem, usiadłem w fotelu i zastygłem. Nie przeszkadzał mi dzwoniący telefon, którego nie zamierzałem odebrać, tylko wrzeszczące na podwórku dzieci. Przymknąłem oczy i zobaczyłem Leszka. Jak nigdy dotąd zapragnąłem jego obecności, chociażby po to, by zapytać, dlaczego ktoś taki jak on związał się z tą kobietą. Upływał czas. Próżnię z porannych godzin zastąpiło silne wzburzenie. Potrzeba uspokojenia i ładu wywołała wspomnienia ważnych i zupełnie nieistotnych zdarzeń w moim i Leszka życiu. Byłem świadom, że się gubię. Powstały zamęt chciałem opanować, lecz metody, by się z tego stanu wydobyć, szukałem z trudem.

Wąwóz – który wciąż widzę w szczegółach – dobiegając do rzeki, wytracał głębokość i znacząco się poszerzał. Płynący jego dnem strumień miał chimeryczne obyczaje, co rusz zmieniał trasę. Bywało, że z jednej strony przylegał do łysej skarpy, lecz pole z drugiej opuszczał leniwie, pokrywając je niewidoczną, ukrytą w zielonej łące warstewką wody. Zbocze od strony łąki było łagodne, porośnięte mniej dorodną trawą, lecz upiękosszone różnymi kwiatami oraz przycupniętymi tu i ówdzie jodełkami, wśród których wila się ścieżka prowadząca poprzez zagon jęczmienia do zabudowań. Strumyk szemrał, omywał sterczące z dna kamienie i podskakując od czasu do czasu, podrzucał niewielkie kłębki wody, jakby wysuwał oko, by zerknąć, czy wciąż towarzyszy mu wstęga bielonego na brzegu płót.

Wąwóz, nazywany też rowem, był częstym miejscem naszych zabaw. Raz budowaliśmy dom. Po długich naradach powstał pomysł, by zacząć od pieca, na którym można by ugotować własny obiad. Gdy role zostały podzielone, praca ruszyła. Kornel z Bronkieni wycinali płyty darni i układali z nich porządny piec, Bolek nad rzeką łowił ryby. Pętająca się wśród nas Malutka miała przygotować deser. Siedziała więc na stoku i zbierała poziomki, a ja z pomocą Leszka segregowałem przywleczony wcześniej susz. Organizacja pracy była wzorowa, mimo to zapomnieliśmy o ziemniakach. Ktoś krzyknął: – Leszek, weź garnek, skocz na czyjeś pole i ukop trochę. – Leszek rzucił na ziemię trzymaną wiązkę patyków i bez słowa ruszył w kierunku sosny, która rosła na zboczu podmytym w czasie ostatniej burzy. Czepiając się jej korzeni, wszedł na szczyt, ponieważ stąd było najbliżej do zagonu ziemniaków grubej Jadwisi, spojrział na kartoflisko i bez widocznego powodu pobiegł w przeciwnym kierunku. Od chwili, gdy zasłonił go sąsiadujący z polem młody brzeźniak, upłynęło sporo czasu, może nawet godzina. Pojawił się na ścieżce prowadzącej do źródła. Szedł wolno, mocno utykając, a garnek z kilkoma ziemniakami ciągnął za sobą na sznurku. Był czymś lub przez kogoś niezłe wystraszony, bo uważnie obserwował mijane jodełki i wciąż spoglądał za siebie. – Żadnego nie zgubiłem – powiedział z ogromnym przejęciem. Kolana i ręce miał pokaleczone, ciekła krew, ale o tym, co się stało, nie wspomniał. Usiadł na obrzeżu placu zabaw, przy kamieniu nazywanym przez Bolka kopytem diabła, i śliną zmywał stróżki krwi.

Miałem wtedy dziesięć lat, a Leszek o trzy lata mniej, do tego był drobnej budowy. Skulony i obolały tego dnia wyglądał szcze-